



Krzysztof Sidorek





Klątwa internetu

Wszyscy, których znam lubią uciekać w wirtualny świat. Podobno jest on błogostawieństwem, ekstra dodatkiem do codzienności, który tworzy nowy wymiar wartości. W związku z powyższym wiele firm, angażując się w nowoczesną technologię, zyskuje na prestiżu. A dla zwykłych ludzi ważne jest przede wszystkim to, że bez pokonywania przestrzeni i straty czasu, mogą zamówić bilety do kina, porównać towary, kupić samochód itd.

Oczywiście moda na internet i największy nim zachwytny nadal panuje w Stanach Zjednoczonych. W Europie zabawa dopiero się rozkręca. W Polsce z internetu korzysta się głównie w pracy, tzn. tam gdzie łączy się w miarę sprawne i nie tak kosztowne. Życie biurowe stało się do wytrzymania wyłącznie dzięki poczcie elektronicznej i kanałom z grupami dyskusyjnymi.

Korzysta na tym również sztuka. Artyści mają swoje strony internetowe. Tą drogą coraz sprawniej rozpowszechnia się teksty literackie, obrazy, utwory muzyczne, a nawet filmy. Kultura jest przepisywana na kody i wisi sobie w globalnej sieci, stanowiąc najlepsze alibi dla demokracji i egalitaryzmu. Nareszcie wszystko jest dostępne dla wszystkich bez względu na płeć, wiek i dziesiątki innych ograniczeń.

Internet sprawnie zglobalizował świat. Pozwala porozumieć się każdemu z każdym, w prawie rzeczywistym czasie, przy minimalnych lub żadnych kosztach. Zdobywanie i przesyłanie informacji stało się błahostką. W tej sytuacji nawet telepatia przestała być atrakcyjna.

dokończenie na str. 17



Życie jest smutne, czyż nie?

Rozmowa z Rafałem A. Ziemkiewiczem, pisarzem

ENIGMA: To już osiemnaście lat odkąd zadebiutował Pan jako autor SF. Czy przez ten czas zmieniło się pańskie podejście do literatury i do fantastyki?

Rafał A. Ziemkiewicz: Tak. Kiedy zaczynałem, moim marzeniem było zostać „paperback writer”. Wyobrażałem to sobie tak, że będę wydawać, powiedzmy, jedną powieść rocznie, że będą to książki solidnie, po rzemieślniczemu napisane, dające czytelnikowi lekturę satysfakcję i odpoczynek, a ja nie będę miał w sobie nic z nawiedzonego artysty – ot, zupełnie normalny facet, który po prostu zarabia na życie pisaniem fajnych historyjek i ma do tego wszystkiego dystans. Okazało się, że tak nie potrafię i pogodziłem się z tym. Nie myślę już o pisarstwie jako o zawodzie i nie chce mi się pisać bestsellerów według sprawdzonego przepisu, choć, tak mi się wydaje, rzemiosło mam na tyle dobrze opanowane, że mógłbym.

ENIGMA: Jest Pan postrzegany jako publicysta polityczny, który uprawia literaturę użytkowo. A wizje przyszłości, zdaniem niektórych recenzentów, mają służyć popularyzowaniu konserwatywnej ideologii.

Rafał A. Ziemkiewicz: To pytanie zapewne sprowokowane jest recenzją „Walca stulecia” w „Nowych Książkach”? Odpowiadam: nie, to zupełnie nonsens. Przede wszystkim najpierw byłem pisarzem, a publicystyką zająłem się tylko po to, żeby jakoś zarobić działalnością w miarę zbliżoną do swojego najważniejszego zajęcia. Poza tym felieton, który dają gazecie trafia do dziesięciokrotnie liczniejszej publiczności niż powieść, więc jakież niby miałyby mieć sens ta insynuowana mi działalność?

Mam w ogóle dużo zastrzeżeń do recenzji, czy raczej tych notek o książkach, jakimi kwitują produkcję księgarską nawet pisma literackie. Są to teksty ludzi zagonionych za chałturą, w gruncie rzeczy nie zainteresowanych szukaniem czegoś, czego w podsuniętej im książce nie ma. Zazwyczaj przepisują bezmyślnie notki ze skrzydełka, albo na podstawie tylko okładki i kilku pierwszych zdań kwalifikują rzecz do jakiegoś stereotypu i dalej jadą już schematem. Aha, science fiction... No to znaczy się, mamy tu wizję przyszłości, która ma być ostrzeżeniem, bla bla bla...

ENIGMA: A co, w takim razie, chciałby Pan, aby w Pana książkach dostrzegano?

Rafał A. Ziemkiewicz: „Walc”, tak mi się wydaje, jest w dużym stopniu powieścią o pamięci. Także o śmierci i o tym, że ludzie nie potrafią się ze sobą porozumieć, nawet jeśli są sobie bliscy i łączy ich uczucie. „Worożycha” idzie w podobnym kierunku. Miewam pomysły na niezłe science-fictionowe wizje, ale po prostu nie chce mi się ich realizować, jeśli nie ma w nich miejsca na postacie, które by mnie zainteresowały, coś poruszyły. W tekście musi być konflikt i to nie taki, w którym jedna strona ma rację, a druga nie, jedna jest dobra, a druga zła – bo to nuda i prawie nigdy tak w życiu nie bywa. Chodzi o taki konflikt, w którym wszystkie strony mają rację i wszystkie są zarazem, w jakiś sposób dobre i w jakiś złe – po prostu są skazane na starcie i nie mogą go uniknąć.

ENIGMA: Jak w norwidowskiej definicji tragedii, którą kilkakrotnie cytował Pan w felietonach o fantastyce?

Rafał A. Ziemkiewicz: Właśnie. „Tragedia jest to uwidocznienie fatal-

ności socjalnej albo historycznej, wiekowi lub narodowi jakiemu wyłącznie właściwej”. To zarazem świetna definicja socjologicznej SF, takiej jaką pisać warto. Ten świat, który umieszczam w przyszłości nie jest prognozą tylko nabraniem dystansu do współczesności po to, aby lepiej ją zobaczyć. Tak jak się robi krok w tył w muzeum, żeby zobaczyć i ocenić cały obraz, a nie tylko detal. Wypreparowuję z dzisiejszości jej „fatalność”, rzutuję ją w bliską przyszłość i staram się to oddać przez stworzenie bohaterów, których ta ekstrapolowana przyszłość ukształtowała i zdeformowała w sposób sobie „wyłącznie właściwy”.

ENIGMA: Powiedział Pan „socjologiczna SF”. Inni nazywają ten gatunek: futurystyką, political fiction lub social-fiction.

Rafał A. Ziemkiewicz: Ta „futurystyka” to jakiś potworek stworzony na użytek Lema. Po prostu krytykom nie przechodzi przez gardło określenie „fantastyka” czy „science fiction” w stosunku do kogoś, kto odbiera doktoraty *honoris causa* na „Jagiellonce”. „Political fiction” to w nomenklaturze zachodniej kawałki typu „Czy powiemy prezydentowi”. Politycznymi powieściami z kluczem nazywano u nas za peerelu fantastykę z podtekstem antykomunistycznym. Tak, sporo zamętu w terminologii... To co piszę uważam za SF, tylko że skupioną na myśleniu o społeczeństwie, nie o technologii – tak jak powiedziałem „Mechaniczna Pomarańcza” Burgesa, nie wspominając o Huxley’u.

ENIGMA: W „Czasie Kultury” ukazało się opowiadanie „Jawno-grzesznica”, napisane 10 lat temu i uważane wtedy za antyklerykalne. Ma Pan w dorobku i takie opowiadanie, choć wśród czytelników

ZESPÓŁ „ENIGMY”: Juliusz BOLEK (redaktor naczelny, tel./fax: 827-83-25), Magda GINTOWT-JUCHNIEWICZ (tel. 615-72-14), Aleksandra RUDALSKA (sekretarz redakcji, tel. 610-60-96), India CZAJKOWSKA, Agata KRULIKOWSKA, Anna ROSSMANITH. **PROJEKT GRAFICZNY WINIETY:** Paweł BIARDZKI. **WYDAWCA:** Juliusz BOLEK **ADRES REDAKCJI:** 00-021 Warszawa, ul. Chmielna 35/199. **Specjalne podziękowania za pomoc przy składzie komputerowym i graficznym dla MEDIA TV PLUS SP. Z O.O.**, tel./fax: 622 98 34, Warszawa, ul. Jaracza 2. Nakład 2000 egz. Numer zamknięto: 20 grudnia 2000 r. **Nie wszystkie opinie i poglądy prezentowane w piśmie są zgodne z poglądami „Enigmy”. Redakcja zwraca nie zamówione materiały. Wszystkie skróty i zmiany w publikacjach są, o ile to możliwe, uzgadniane z autorami. Osoby, pragnące regularnie otrzymywać „Enigmę”, proszone są o kontakt z Redakcją.**

rys. Przemysław Runo



HAZARD

Dzisiaj przegrałam Anioła w karty. Miał bardzo zdziwioną minę, gdy zobaczył, że mój przeciwnik nie blefował. Na mnie nie zrobiło to większego wrażenia.

Cóż, do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Na początku pociągały mnie wyścigi. Pewnego dnia postawiłam na konia o imieniu Szczęście. Na ostatnim wirażu wyścignęła go Rzeczywistość. Później stawiałam na Prawdę, ale wyszła Usłużność.

Doszłam wtedy do wniosku, że wyścigi nie są dla mnie. Przerzuciłam się na ruletkę. Razem z jednym panem postawiliśmy na czerwone na Miłość. Wyszło. Cieszyłam się jak cholera, może to coś znaczy? Znaczący, faktycznie. Ten pan poszedł z krupierem do kina, a ja zgarnęłam swoje wygrane pięć żetonów.

Następne poszły karty. Najpierw przerzuciłam Rozsądek, potem przyszła kolej na Dumę. Dzisiaj Anioł Stróż powędrował do cudzej kieszeni. Jutro gram o Życie, ale mi nie żal, bo jest właściwie bez wartości – jak pusta walizka, z której przed minutą wyjęto miliard dolarów.

Ewelina Śmietanka

uchodzi Pan za konserwatystę. A w wywiadzie dla „Feniksa” i kilku felietonach znalazłam pochwałę lefebrystów – gdzie tu konsekwencja?

Rafał A. Ziemkiewicz: Może i nie ma konsekwencji. Zawsze uważałem, że pisarz tak do końca konsekwentny to trochę jak tak zwana porządna dziewczyna – wszyscy ją szanują ale nikt nie kocha. Może i nie ma konsekwencji ale jest uczciwość wobec czytelnika i wobec samego siebie, przede wszystkim. Tak myślę, tak czuję, tak uważam, więc tak piszę.

ENIGMA: „Jawnogrzesznicę” zaliczono do „klerykal fiction” jak to nazwał kwartalnik „Voyager”. Czy rzeczywiście istnieje w polskiej SF nurt religijny o jakim pisała „Fronda”?

Rafał A. Ziemkiewicz: Nurt to za dużo powiedziane. Było w naszej fantastyce takie zjawisko, ograniczone w czasie, podobnie jak ongiś tzw.

punk. Wielu autorów ma w dorobku po kilka tekstów, które da się do niego zaliczyć, ale nie uformowała się żadna szkoła ani grupa, którą można by z tematyką religijną kojarzyć. Może warto by tę sprawę bliżej zbadać, tylko kto to może zrobić? Niestety, krytyka fantastyki właściwie nie istnieje, a ja nie czuję się kompetentny, żeby tę lukę łątać. Zwłaszcza tak z marszu.

ENIGMA: Jest Pan czasem uważany za wroga demokracji. Czy w pańskiej wizji przyszłości jest ona tylko fasadą?

Rafał A. Ziemkiewicz: Tak oczywiście jest. Dwa miliony dolarów wygrywają z jednym – władzę zdobyć może tylko ten, kto ma pieniądze, a pieniądze tylko ten, kto ma władzę. A my zachowujemy się jak Rzymianie, którzy uparcie twierdzili, że żyją w republice, choć panował już dzięsiały z kolei Cezar.

ENIGMA: Nie wydaje się Pan

nad tym boleć. Jak więc to pogodzić z deklarowanym liberalizmem, który powinien szczególnie uczulać na kwestię wolności?

Rafał A. Ziemkiewicz: Nowożytna demokracja wcale nie jest gwarantem wolności – bywa przeciwnie. W ogóle wolność to coś, co jest człowiekowi zadane, a nie dane. Jest owocem żmudnego, wewnętrznego wysiłku – choć oczywiście są ustroje, gdzie łatwiej ją osiągnąć. Ale nie każda demokracja sprzyja wolności. Na przykład, w Hiszpanii generała Franco, czy pinochetowskim Chile istniało więcej wolności niż we współczesnej Francji.

ENIGMA: Dlaczego pańskie książki są takie smutne?

Rafał A. Ziemkiewicz: Bo życie jest smutne. Czyż nie?

ENIGMA: Dziękuję za spotkanie.

Rozmawiała: Anna Kubik

Renesans aniołów

O aniołach wiadomo tyle, ile udało się odczytać ze świętych ksiąg największych religii świata. Wiedza ta, nawet poparta wieloletnimi badaniami angeologów, jest nie tylko umowna, niepełna, ale także bardzo dyskusyjna. Dzieje się tak z powodu wieloznaczności samego przedmiotu zainteresowań, jak i mnogości tekstów źródłowych.

„Postańców” nazwaliśmy greckim słowem: angelos. W hebrajskim: malak. W islamie oznacza tych, którzy zostali przeniesieni bliżej Allacha: el-karrubiyān. W języku asyryjskim to po prostu ten, który się modli albo komunikuje: karibu.

Pomimo wielu różnic udało się stworzyć kilka uniwersalnych, dogmatycznych prawd o aniołach. Zarówno w islamie, judaizmie, jak i w chrześcijaństwie, są one wysłannikami Boga. Często pośredniczą między absolutem a ludźmi, służą za postańców, zwiastunów, pomocników. Obdarzone niematerialnym istnieniem są bardziej ideami, odbłaskami myśli bożej, niż konkretnymi wcieleniami. Największe odstępstwa od tej reguły ujawnia chrześcijaństwo. Już średniowieczna ikonografia stworzyła idealny obraz anielskich postaci i przyzwyczała wyobraźnię przede wszystkim do dobrych duchów. Tym samym upadłe anioły pozornie zniknęły ze skrzydlatych zastępów. Ale ten dualistyczny podział przetrwał i obowiązuje we wszystkich systemach religijnych. Charakteryzuje odwieczną walkę dobra ze złem oraz sprzyja większej dramaturgii w sferze zaświatów.

Demony zła, zbuntowane anioły, gwiazdy poranne, synowie Boga, chóry anielskie to jedynie przykłady synonimicznych określeń całej populacji tajemniczych istot. Szczegółowe badania pozwoliły na bardziej dokładne poznanie funkcji i imion prawie wszystkich aniołów wymienionych w świętych tekstach. Intuicyjnie wydaje się, że podstawowym źródłem w tych poszukiwaniach powinna być Biblia. Na kartach Nowego i Starego Testamentu niezwykle często pojawiają się aniołowie, ale tylko kilkoro z nich znamy z imienia, np. czterech archaniołów: Gabriela, Rafała, Michała i Uriela. Także Apokalipsa św. Jana jedynie wspomina o siedmiu aniołach. Dopiero podobny motyw, odnaleziony w Koranie, pozwala na prawie

bezbłędne ustalenie ich tożsamości. Obok Gabriela i Michała pojawia się Iblis albo Eblis, który jest przywódcą dżinnów, czyli arabskim odpowiednikiem judeochrześcijańskiego szatana. Czwartym jest Malik, główny anioł strzegący piekła. Towarzyszą mu dwaj upadli aniołowie, Harut i Marut, którzy według arabskich legend zostali zesłani na ziemię, aby uczyć ludzi sztuki rządzenia. Natomiast mitologia mahometańska informuje, że uwięziono ich za zdradę sekretnego imienia boga i do tej pory wiszą głową w dół w lochu niedaleko Babilonu, gdzie, jak głosi legenda, uczą magii i czarnoksięstwa. Siódmym wspaniałym jest Azrael, zwiastun śmierci. W Islamie wyobrażany jako monstrum mające: „siedemdziesiąt tysięcy stóp i cztery tysiące skrzydeł, a w jego ciele znajduje się tyle oczu i języków, ile żyje ludzi na świecie”.

Przywołany tutaj, pozornie bezgraniczny, synkretyzm religii może budzić wiele wątpliwości. Łączenie i porównywanie tekstów z odległych obszarów kulturowych niesie w sobie ryzyko omyłek i stawia pytania o słuszność tak dokonywanych upodobień. Czy zamiast wyjaśniania tajemnic anielskiego świata, nie dochodzimy do absurdu poznania? Wydaje się, że dzieło życia najstarszego angeologa – Gustava Davidsona, „Słownik aniołów”, pomija takie problemy. Badacz ów, w swoich poszukiwaniach nie ograniczał się do ksiąg kanonicznych buddyzmu, hinduizmu, islamu, judaizmu i chrześcijaństwa. Sięgał do literatury apokryficznej i pseudoepigraficznej, korzystał z tekstów apokaliptycznych, talmudycznych, kabalistycznych, gnostycznych, a nawet odkrywał zapomniane dziś traktaty magiczne i spisy zaklęć. Z setek imion powstał najbardziej nieprawdopodobny obraz „świata” zamieszkałego przez dobre i złe anioły oraz wszelkie istoty aniołopodobne. Nikt nie neguje profesjonalizmu, ani doniosłości tych badań. Nie mogą jednak oprzeć się wrażeniu, że ta lektura zbliża czytelników do świata mitów, legend, podań czy aury znanej z „Księgi tysiąca i jednej nocy”.

Uciekając od tak wszechstronnej analizy anielskości warto zatrzymać się w kręgu sztuki i tradycji judeochrześcijańskiej. W niej bowiem kult boskich postańców zawsze był najsilniejszy. Nawet św. Paweł przestrzegał

przed zbyt wielkim uwielbieniem dla aniołów, a na Soborze w 343 roku uznano takie praktyki za bałwochwalcze. Późne średniowiecze związało anioły z siłami natury, przypisało im pory roku, miesiące a nawet dni. Czyniono to w myśl zasady, że wszystko co postrzegalne musi mieć swego opiekuna.

Pierwszym reformatorem niebiańskiej hierarchii został Grek, Dionizy Areopagita, nawrócony w Atenach przez św. Pawła. W czterech mistycznych księgach opisał całą anielską rodzinę. Podział na trzy hierarchie i dziewięć chorów obowiązuje do dziś.

Najpotężniejsze są Serafyny, Cherubiny i Trony. To one przynoszą sprawiedliwość Boga, strzegą gwiazd, rozdają wiedzę. Zaraz za nimi czekają Państwa, Księstwa i Zwierzchności, które rządzą światem. Ochroniają religię, obdarzają wdziękiem i odwagą, strzegą przed złymi demonami i czuwają nad najniższymi chórami: Mocarstwami, Archaniołami i Aniołami. Wśród nich jest zwykły posłaniec codzienności, o którym ks. Jan Twardowski tak mówi: „nazywamy go brzydkiem stróżem”.

W średniowiecznej teologii jeszcze jedna postać dowartościowała anioły. Nie bez powodu św. Tomasz z Akwinu nazwano „Anielskim Doktorem”. W połowie XIII w. ogłosił on serię wykładów poświęconych anielskiej naturze; m.in. zastanawiał się, jak wiele z nich może przebywać jednocześnie w tym samym miejscu tzn. czy gromada aniołów może tańczyć na ostrzu szpilki. Pytał też o to, z czego anioły powstały, czy mają wolę, czy potrafią myśleć, ale najbardziej rewolucyjna okazała się „drabina bytów”. Św. Tomasz przyporządkował aniołom odpowiedni szczebel, a człowiekowi przyznał prawo do moralnego i etycznego rozwoju.

Wiele anielskich zagadek czeka na rozwiązanie. Ciągłe nie wiadomo, jak liczna jest gromada aniołów. Doktryna chrześcijańska wyjaśnia, że liczba ta została określona w momencie stworzenia i jest względnie stała. Natomiast czternastowieczni kabaliści doliczyli do 301 655 722. Najwyraźniej łatwiej pozostać przy podziale na zastępy, legiony, armie, albo zawierzyć słowom św. Augustyna: anioły „rozmnazają się jak muchy”.

Próbowano także zbadać anielską genealogię. Ciągłe toczą się spory o datę ich urodzenia. Czy powstały wraz z pierwszym promieniem słońca? A może były już przed stworzeniem świata? Intrygująca jest także

niematerialność. Św. Augustyn porównywał substancję aniołów do materii słońca i gwiazd – gorącego blasku i świetlistego pyłu. Bardziej przekonuje teza św. Tomasza, anioły to „czyste inteligencje” istniejące w przestrzeni wieczności. Nie ma oczywiście zgodności co do płci. W judaizmie malak zawsze był mężczyzną. Natomiast chrześcijaństwo szybko zrezygnowało z tej androgeniczności. Dziś coraz częściej można spotkać anielice...

Jeszcze bardziej fascynująca wydaje się opowieść o buncie w „pośłańczych” szeregach. Do bitwy i upadku aniołów doprowadził pośrednio człowiek. Te z zastępów, które nie chciały usługiwać rodzajowi ludzkiemu – musiały odejść... Dante przeczuwał, że stało się to „przed czasem” i tak szybko „zanim zdołałbyś doliczyć do dwudziestu”. A wyobraźnia Milтона ukazała straszliwą, trzydniową walkę, po której strącony anioł „Arcywróg” leżał dziewięć dni, by potem zająć się Adamem i Ewą. Zupełnie zaskakujący obraz opuszczenia nieba przez buntowników przetrwał w tradycji islamskiej. Tam, zamiast przemocy, odnajdujemy przypowieść o głębokiej miłości. Ponieważ Iblis (pierwszy niepostuszny) kochał bardziej od innych, to nie potrafił oddawać czci temu, co nie jest Bogiem. Wtedy Pan powiedział: „zejdź mi z oczu” i Iblis powędrował do piekła, tzn. został pozbawiony widoku Umiłowanego. Dla pełnego kontrastu warto przypomnieć Lucyfera z „Boskiej komedii”. Dante umieścił przywódcę szatanów w zamrożonym jeziorze, bo lód najlepiej współgra z niekochającym sercem.

Motyw aniołów towarzyszy literaturze i sztuce od czasów najdawniejszych. Początkowo pojawiał się tylko w sferze sakralnej i na jej użytek ok. V w. n.e. uskrzydłono anioły. Potem coraz bardziej dynamiczna wyobraźnia twórcza usamodzielniała postać anioła. Odłączone od sacrum zaczęły patronować wielkiej sztuce. W Polsce przetrwały dzięki wierze w ludu. Malowane na szkle, rzeźbione, niewprawnie ciosane w pniach, słomiane jak chochoły. Ludowe anioły – niby tandetne, słodko dewocjonalne, ale przez swoją różnorodność ogromnie zadziwiające. Właściwie to one inspirowały poetów, szczególnie sympatią obdarzając Juliusza Słowackiego. Doczekały się wielu, na wskroś polskich, nostalgicznych portretów autorstwa Jacka Malczewskiego. Pojawiały się zawsze tam, gdzie



rys. Magdalena Gintowt-Juchniewicz

rozdartą duszą artysty potrzebowała pomocy albo przywoływała złe moce w akcie szaleńczego buntu.

Krocząc drogami aniołów zatrzymujemy się przy współczesności. Kultura masowa wykorzystwała nieskazitelną konotację „anioła” do stworzenia – idealnie pozytywnego – bohatera wszechczasów. Chwilami przypomina on jeszcze Anioła Stróża z dziecięcych modlitw, ale coraz częściej kojarzy się z nowoczesnym, dobrze uzbrojonym ochroniarzem. Natomiast telewizyjne seriale przyzwyczajają nas do myśli o szlachetnym nieznanym, anonimowym dobroczyńcy, przyjacielu nikąd. A my tęsknimy za taką pomocną dłońią, czy szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Odwieczne pragnienie dobra sprawia,

że nie możemy zapomnieć o postaćach niebios.

Anioły nieustannie przeżywają swój renesans. Towarzyszą twórczym poczynaniom człowieka, czuwają nad poezją, patronują sztuce, wplątują się w debaty teologiczne i filozoficzne doktryny. Ale przede wszystkim „odradzają się” z duchem czasu.

*„Są anioły
naprawdę są anioły
ubrane w marynarki
w niezbyt modne suknie
siedzą u stołu piją piwo gwarzą
ziewają późno kładą się do łóżka
a w szafie wtedy białe odpoczywa
skrzydło (...).”*

(„Anioły” Anna Kamieńska)

Aleksandra Rudalska

Kult bóstw męskich lub żeńskich wyraża istniejący system wartości. W jednych kulturach kobiety wzorują się na mężczyznach, w innych mężczyźni na kobietach. Różne ludy mają różne mity i antropologowie przestrzegają przed powierzchownym szukaniem podobieństw. Mimo wielkiej różnorodności mity łączy jedna wspólna cecha – zapisane są językiem symbolicznym.

Wiele mitów o ludzkości opowiada o tym, że mężczyzna i kobieta byli jedną istotą, a potem przecięto ją na pół. Odtąd dwa pierwiastki, męski i żeński, zależą od siebie, jeden drugiemu daje odrodzenie.

Jedenastowieczny dokument kabalistyczny „Alfabet Ben Sira” mówi o tym, że pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę stworzono z tej samej substancji i dano im równe prawa jako istotom androgynicznej. Konflikt powstał przy ustalaniu najlepszej pozycji podczas stosunku seksualnego. Lilith nie zgadzała się na roszczenia Adama do panowania i przyjęcie biernej pozycji. W desperacji przywołała

kę. Stąd też niektórzy badacze porównują jej historię z wędrowną chrześcijańską Zbawicielką. „Lisy mają jamy i ptaki niebieskie gniazda, ale Syn Człowieczy nie ma gdzie by głowę skłonił.” (Mat. 8.20) Na tym nie kończą się podobieństwa. Lilith zstąpiła do piekła, aby uczestniczyć w pogrzebie szalonego byka z nieba, który wprowadzał terror na Ziemi. W świecie podziemnym rozebrano ją, ponizono, wysmagano białem i wbito na pal. Trzeciego dnia bóstwa świata wyższego uświadomiły sobie co się wydarzyło, a Enji – bóg wody i mądrości – przyczynił się do jej wybawienia. Po powrocie do świata przyswoiła sobie coś z mocy innej bogini – Ereshigal, zwanej królową umarłych i zabijającej spojrzeniem.

Najważniejszą funkcją Czarnych Dziewic jest służenie za niszczycielską rękę Boga, łagodzącą sprawiedliwość litością. „Dawno, dawno temu gołąb Boga i kruk Boga rozstały się, a kruk z Arki został przeklęty. On też jak gołąb był kiedyś biały, a szczeriał wykonując swoją prometejską rolę niszczą-

opisywano długowłosą Lilith jako skruszoną ładacznicę (stawiając ją na równi z Marią Magdaleną czy Marią Egipcjanką) prowadzącą grupę demonów w dzikim tańcu. Ale dokąd?

Pisarz Alfred de Vigny nazywa Lilith duchem nocy, nieprzyjaciółką Ewy i jej dzieci. To antymacierzyńskie bóstwo pojawia się w Księdze Izajasza jako sówka (34.14). A wspomniana Kabała oraz legendy arabskie i Zohar, utożsamiają ją z Królową Sabą. Podobno to właśnie Lilith i jej przyjaciel Naamah wywołali słynny sąd Salomona nad dzieckiem, o które się kłócili. Także jednym z jej wcieleń była pierwsza pustynna żona Mojżesza: Syppora („Ptasia kobieta”) oraz jego druga żona zwana „Egipcjanką” z powodu śniadości cery. Ostatecznie, jak mądrość pozyskana od starożytnych przez Egipcjan i dzieci Wschodu, spoczęła na dnie morza.

Wielkiej mocy bogini była przedstawiana jako połączenie wilka, lwa i skorpiona. Wśród syren, rusatek, wodnic, baśniowych Meluzyn i innych wodnych nimf, które kusily wędrowców, aby zboczyli ze swych ścieżek, ona była najgorsza. Udało jej się nawet uwieść proroka Eliasza. Takich przekazów jest jeszcze więcej, ale wszystkie sprowadzają się do pytania o to, czy tak ukazana postać miała pozytywny aspekt.

Okazuje się, że kościoły karmelickie były dość często związane z kultem Czarnej Dziewicy. Nie było w jej statuetce nic z potulnej ofiary, ani zdolności obdarowywania mądrością. Ale ten wizerunek miał już w sobie jasne pierwiastki. Również w tradycji ezoterycznej Lilith pojawia się w dobrym świetle. Gnostycy Mandejczycy zapisali w swych księgach, że jest ona córką Króla i Królowej Świata Podziemi i żoną Króla Światła Manda d'Hayyela („wiedza o życiu”). Wtajemnicza swego męża w sekrety ciemności i obdarza go synem, który łączy w sobie mądrość obu światów. To on będzie bronić matki przed zarzutami, że jest demonią porwującą dzieci i ukazuje ją jako dobrego ducha, który przychodzi, by pomóc kobietom.

Tak oto z czarnej formy wyniknął świat materii i cielesności, wiecznie przewartościowywany pod wpływem sił duchowych.

Waż i gołębica spleceni tak mocno, że stanowią jakby jedno stworzenie. To rzeźba-fontanna, napotkana w małym hiszpańskim miasteczku, mijanym w wakacje, którego nazwy nawet nie pamiętam. Ale to znak – męskość i kobiecość złączona

Powrót bogini

imię Jahwe i natychmiast otrzymała skrzydła. W ten sposób uciekła z nieba, które stało się dla niej więzieniem. Wysłano za nią trzy anioły, żeby ją sprowadziły, ale ona pozostała nieczułą. Skazano ją za to na wydawanie licznych potomstwa, z którego dziennie życie traciła setka. Ta okrutna kara zmiażdżyła Lilith na tyle, że rzuciła się w Morze Czerwone. Ale oplotujący ją aniołowie zlitowali się i przywrócili jej prawo do opieki nad niemowlętami. Stąd władzę nad życiem i śmiercią nowonarodzonych dzieci przypisuje się właśnie Czarnym Dziewicom.

Tak ukazane bóstwo kontrastuje z kobiecością rozumianą jako urodzaj, obfitość i macierzyńskość. Czarna Dziewica, która jest opisana w pismach z trzeciego tysiąclecia p.n.e. nie została zdyskredytowana, ani zdemonizowana. Obraz ten przetrwał w sumeryjskiej kolebce cywilizacji. Lilith była tam uniwersalną boginią niebios, płodności, wojny, sprawiedliwości, miłości seksualnej i uzdrawiania. Jej tworem było drzewo życia więc mogła kierować losem wybranych śmiertelników. Ale kiedy heros Gilgamesz ściął drzewo, a bóg nieba Enhil wypędził ją – stała się bezdomną i rozpoczęła wieczną tułacz-

ciela światła i ognia świadomości ludzkości.” Tak więc kruk jest symbolem twórczego, boskiego kryzysu.

Postać Lilith została uwieczniona także w literaturze. Victor Hugo uczynił ją najstarszą córką Szatana. Otrzymała czarną duszę świata, dziką i wieczną czerń nocy oraz siłę fatalną. Posiadła też wiedzę o tajemnym imieniu Boga.

Czarna Dziewica – negatywna, wściekła, demoniczna – jest także porównywana do obrazów z kręgu chrześcijańskiego. W obszarze tej kultury istnieje kult Czarnej Madonny, Matki Boskiej o Czarnej Twarzy. W tych obrazach niewinność i macierzyństwo stykają się ze sferą cienia. Ujawnienie owego ciemnego, mrocznego aspektu niweczy rozszczepiony obraz kobiety na dziewczicę i prostytutkę.

W ogólnie dostępnych źródłach nie możemy odkryć, jak ponure i pełne mrocznej siły były wcielenia Czarnych Dziewic w kulturach niechrześcijańskich. W Biblii nie przeczytamy, że Adam po śmierci Abla powstrzymywał się od Ewy przez 130 lat, a wtedy Lilith składała mu potajemne wizyty. A tak zapisane jest w tradycji kabalistycznej, w wymienionym już dokumencie z XI wieku. Pięćset lat później



fot. Krzysztof Sidorek

w jednej postaci. Ten ponadczasowy i ponadkulturowy symbol wypełnia swym dualizmem cały świat.

Czasem element seksualny jest poskręcaną fasadą znaną ze świątyń hinduskich. Czasami jest freskiem skrytym w jaskini sprzed tysięcy lat.

Zawsze tym odkryciom towarzyszy niepokój metafizyczny. Na krańcach duchowego świata człowiek zawsze odkrywa, że jest nagim dzikusiem. Życ, przeżyć, choćby zostać kanibalem. Godzić sprzeczne aspekty istoty w krainie wiecznych łowów. We wszech-

świecie nie ma martwoty, a seksualność równoważy się z siłą życiową.

Istnieje polaryzacja ziemi i deszczu, rzeki i oceanu, dnia i nocy, ciemności i światła, materii i ducha.

Katarzyna Kolbowska

zasypiamy / z jedną ręką pod głową / a z drugą w kopcu planet / a stopy opuszczają nas / i smakują ziemię / małymi korzonkami...

Wtopiony w metafizyczny horyzont, poszukujący sensu życia, próbujący odpowiedzieć na pytanie jak żyć, człowiek Herberta potrzebuje jeszcze jednego nieodłącznego rysu swojego człowieczeństwa, tego rysu, który można by szeroko nazwać wyobraźnią, niepowtarzalnością, własnym i na wskroś twórczym obcowaniem ze światem.

Poezja Herberta przeprowadza atak na bierność ludzkiej wyobraźni. Z ironicznym dystansem traktuje tych, których ciała trzymają tuż przy ziemi, tych którzy zbyt dosłownie odbierają świat, chłepcąc tylko to, w co potrafią włożyć własną brodę. Niesamodzielnymi w doznawaniu, nieplodnymi w próbach dania czegoś z siebie, pozbawionych kreatywności.

Myśli chodzą po głowie / mówi wyrażenie potoczne / wyrażenie potoczne / przecenia ruch myśli / więk szość z nich / stoi nieruchomo / po-

Zbigniewa Herberta

„krzątania wśród ptaków i kamieni”

Studium wyobraźni

środku nudnego krajobrazu / szarych pagórków / wyschłych drzew” (Pan Cogito a ruch myśli)

Żadna poprawność bycia, nie-naganne manieri, wyuczone gesty nie nadrobią braku w życiu z niewykorzystanym prawem do wyobraźni.

Herbert wyraźnie jednak wypowiada się przeciw takiej wyobraźni, która ma być rozkrzyczanym, bałmutnym, kolorowym ptakiem. Przeciw całemu worowi nieadekwatności, który zagraca ludzki świat. Przeciw przerysowaniu, karykaturze. *Pan Cogito nigdy nie ufał / sztukom wyobraźni / fortepian na szczycie Alp /*

grał mu fałszywe koncerty / (...) uwielbiał tautologie / tłumaczenie / idem per idem (Pan Cogito i wyobraźnia)

Pan Cogito (...) / używał wyobraźni / do całkiem innych celów / (...) pragnął pojąć do końca / - noc Pascala / - naturę diamentu / - melancholię proroków / - gniew Achillesa / - szaleństwa ludobójców / - sny Marii Stuart (Pan Cogito i wyobraźnia)

Z czasami wyobraźnia wspomaga rozumienie, służy pojmowaniu tego, co niesie świat, co skrywa człowiek. Nie mieścimy w sobie całej skali odczuć – my ludzie. Nie poznaliśmy, nie wniknęliśmy w każdą namiętność, pożądanie, wiedzę, nie przeżyliśmy rozpaczyci czarniejszej od naszej, gniewu gorętszego niż ten, który nas wypala, boleśniejszego obumierania, radośniejszej ekstazy. Nasza jest miara. My miarą.

Dlaczegoż więc Pan Cogito pragnie pojąć do końca, szukać wglądu w to, co go dotyczy tylko pośrednio. Ponieważ jedno już pojął, że jest częścią, pierwiastkiem całego bytu. To, co wie, czuje, tworzy jest fragmentem, nie wszystkim. A wyobraźnia pozwala łączyć się owym fragmentem w znajomym współodczuwalnym rytmie. Taka wyobraźnia jest formą wykraczania poza siebie.

Wyobraźnia, jakiej pragnie Herbert dla Pana Cogito jest czymś naturalnym, prostym, pomimo iż ujmuje nieraz sprawy trudne i skomplikowane. Ona jest przecież po to, by oswajać, uprzystępniać, przemawiać językiem estetyki i uczuć w miejsce ściśle rozumianego języka umysłu. Polega na samowtajemniczeniu się człowieka w zjawiska, które bez niej byłyby obce, zbyt odległe i ciemne.

Co wynika z mądrości przewertowywanych na wszystkie strony, gdy *mędrca szkiełko i oko* staje w opozycji do lekkości, do małej dozy infantylizmu, naturalności, szczerości, fantazjowania? *suchym krokiem mierniczych / chodzą filozofowie / absolut mylą i liczą (***) Pryśnie klepsydra...*



rys. Magdalena Gintowt-Juchniewicz

Wyobraźnia jest manifestacją potrzeby rozwoju, niepowściągnięcia się w znajdowaniu świeższych perspektyw, wystąpieniem przeciw powadze i jałowości świata. Nieopatrzenie owocuje, a wtedy zmniejsza się przepaść między nami a światem.

Herbert snuje marzenie o świecie prostszym, elementarniej urządzonym, objaśnionym na nowo. Pan Bóg kiedy budował świat / marszczył czoło / obliczał obliczał obliczał / dlatego świat jest doskonały / i nie można w nim mieszkać / za to / świat malarza / jest dobry / i pełen pomyłek (W pracowni)

pan artysta / świat buduje / (...) na szpilkach traw / haczyki kwiatów / obłoki z drutu / ciągnie wiatr (Nic ładnego)

Być może świat pełen pomyłek daje prawdziwsze poczucie wolności, wystarczy znać małe zakłęcie, własną tajemnicę wyobraźni, reszta staje się jakby sama. Zastukaj palcem w ścianę / z dębowego klocka / wyskoczy / kukulka / (...) zaświstaj cienko – / a pobiegnie rzeka / mocna nieć / (...) teraz / zamknij oczy / spadnie śnieg (Pudełko zwane wyobraźnią)

Wyobraźnia w najpierwotniejszym rozumieniu pochodzi od zmysłów. A zmysły są czujne i niezgnusiałe, wreszcie są wolne, gdy wyjąć je spod dyktatu uproszczeń i przyzwyczajenia.

W kopercie nieba jest list do nas. Ogromne powietrze w szerokie, pomarańczowe i białe pasy. Idzie przed nami ten tagodny olbrzym: kotłuje się. Niesie na drągu błyszczącą kulę (Pogoda)

Po co godzić się ze ślepotą – pod niebem jest miejsce do zagospodarowania. Z niepogodzenia rodzi się poczucie swobody, możliwość dokonania wyboru, a te są niezbywalnym atrybutem człowieczeństwa. Wyobraźnia to nie przypadłość, od której człowiek winien się uwolnić, by uchodzić za dojrzałego i godnego. Bez niej jest ujarzmiony i stęchły.

Czym byłby świat, gdyby nie wypełniało go ułomne pragnienie naiwnego postrzegania – nieskrywane i przejmujące? Czym byłby świat, gdyby nie wypełniała go zaledwie przeczysta wiedza o niezbadanym wnętrzu ludzkim i niezbadanym świecie, ta nieustanna krzątanina poety wśród ptaków i kamieni?

Anna Rossmanith

Nguyen Viet Dung



na wielkiej autostradzie
prowadzę swój samochód
z zawrotną prędkością
tam gdzie nie chcę być

wokół mnie samochody
mnóstwo samochodów
małe i duże
białe żółte i czarne
czerwone zielone i purpurowe
każdy jest inny
każdy jest wyjątkowy
wiem jednak
że my wszyscy
jedziemy do tego samego miejsca
tam gdzie nie chcemy jechać
tam gdzie musimy jechać

jadąc
obserwuję samochody dookoła mnie
te z przezroczystymi
i te z ciemnymi szybami
za którymi nic nie widać
jednak najbardziej lubię
wozy bez żadnych szyb
może dlatego że lubię ich kierowców

chciałem kiedyś rozwalić własne
by poczuć w oczach
gorzki podmuch wiatru
by jechać tam gdzie nie chcą jechać

czasem wkurzam się z tego powodu
mimo to rozumiem ich
przecież też kiedyś byłem tam
i może kiedyś znowu tam będę
gdy dojadę
i wyrzucę swój stary wóz na złomowisko

a może przesiądę się na samolot
i będę podróżował podniebnymi trasami
z góry patrząc na tę brudną autostradę

nie wiem
nie wiem co będę robił
gdy osiągnę swój cel
cel którego nie chcę osiągnąć
może właśnie fakt iż nie wiem
sprawia że nie chcę tam być

tak czy inaczej
wciąż jadę
ciesząc się że jeszcze nie dojechałem
tak czy inaczej
wciąż jadę
próbując
za wszelką cenę zatrzymać w sobie
złudną nadzieję
że nigdy nie dojadę

by oddychać świeżym powietrzem
by widzieć wyraźnie drogę
i moich kolegów

byłoby to chyba jednak
zbyt niebezpieczne
bowiem niektórzy z nich
jadą wozami marki Skurwysyn
zawierającymi automatyczny
mechanizm
obrzucania kamieniami
wszystkiego co się rusza

próbuję ich unikać
choć wiem że jest to
prawie niemożliwe
bo takie samochody
są wszędzie
ponieważ są najtańsze
i dlatego najmodniejsze
a poza tym
nawet nie wiem czy właściwie to ja
kieruję swoim wozem
czy on przypadkiem
nie prowadzi się sam

tak naprawdę
nie mogę zawrócić
nie mogę się zatrzymać
nie mogę nawet zwolnić
gdyż z tyłu wciąż naciskają na mnie
a raczej na nas
ci co stoją w kolejce
do wjazdu na autostradę
tylko po to

Abgata Kruklikowska

Opadły mgły

Opadły mgły
Zbudził się kot
z kolcami strachu
w sierści
uciekł
bojaźliwie skacząc
z dachu na dach
ku śmierci

Opadły mgły
Zbudził się kot
ze skórą wygrzaną na słońcu
z pazurami
schowanymi w opuszki łap
i nagle
dotknęła go ręka człowieka

Opadły mgły
Zbudził się kot
z nadzieją wędrowki
po wysokich dachach
szukając słońca
wrócił
zmęczony wrażeniami
przemijającego świata

Opadły mgły
Zbudził się kot
z czającym się w jego oczach
przeznaczeniem

Dla Jacka

Druty kolczaste
stoją na drodze
naszego życia
przeszkadzają iść naprzód
więc stajemy
aby się nie poranić
czekamy
na ich metamorfozę
nie wiedząc
że to my musimy
zmienić nasze ja
i upuścić krwi
żeby żyć
pełnią tchu
lekkiego
kolorowego motyla

drapieźnie raniącym
człowieka żyjącego obok

Brzoza

Zadumana brzoza
przegląda się
w zwierciadle
jeziora
poprawia
wiatrem
pasma włosów
i chwijeje się
niepewna
w zbyt
obcisłej
białej
sukience
w ciapki
szumi
lekkim
szeptem
zadowolona
ze swojego
wyglądu
i czeka
na
powleczonego
stojną korą
kochanka

* * *

Poszłam na targ
ludzkich przyjaciół
Ja też chciałam
mieć przyjaciela

Inaczej

Świat przewrócił się
potknął się
o księżyc
i stanęła
ziemia
przy słońcu
spaliła się
realność
pozostał popiół
dym uleciał

rys. India Czajkowska

„Ta sama mądrość, która
nachodzi poetę, stanowi rów-
nież o wartości sztuki malar-
skiej, i ona bowiem zawiera
mądrość”.

(Filostrates)

W starożytnej Grecji poezja nie była traktowana na równi z innymi sztukami, gdyż postrzegano ją jako czynność znacznie wyższą niż zajmowanie się sztuką. Przypisywano jej wartości profetyczne, a poetów wręcz ubóstwiano. Plastyka zawierała wysiłek fizyczny twórcy, który dla Greków był poniżający. Uważano, że poezja jest darem pochodzącym od bogów, a plastyka pracą rąk ludzkich. Muzy otaczały opieką różne rodzaje sztuki słowa i trzeba przyznać, że wszystkie jej dziedziny były wręcz uprzywilejowane. Spośród dziewięciu Muz aż pięć zajmowało się słowem: Talia – komedią, Melpomena – tragedią, Erato – elegią, Polihymnia – liryką, Kaliope – wymową i poezją heroiczną. Natomiast żadnej ze sztuk plastycznych ani malarstwa, ani architektury, ani rzeźbie nie było dane, by mieć chociaż jedną wspólną muzę. Rozbieżność między sztuką słowa, a sztuką wizualną w pojęciu Greków była aż nad wyraz dobitna. Pierwszego zbliżenia poezji i sztuki dokonał Arystoteles. Głównym czynnikiem ich zrównania stało się odrzucenie koncepcji wieszczkiej poezji. Gdy sztuce słowa odmówiono profetycznej roli, pozostała jedynie mimetyczna. Zatem teoria naśladowania stała się pomostem dla obu, różnych do tej pory dziedzin.

W Poetyce Arystoteles pisał: „Poeta jest naśladowcą tak samo jak malarz”. Warto zauważyć, że w zbliżeniu tym nie malarstwo zostało podniesione do rangi poezji, lecz raczej poezja „zdegradowana” do pozycji malarstwa. Natomiast teoria mimesis u Arystotelesa nie była tak oczywista, jak się ją przyjmuje, upraszczając. Arystoteles nie pojmował wcale naśladowania jako prostego kopiowania natury. Twierdził, że rytm i harmonia (wartości czysto abstrakcyjne) są niemniej ważnym czynnikiem sztuki, co mimesis i nie da się porównać zadowolenia jakie dają odbiorcy.

Arystotelesowska interpretacja naśladowania zbliżała się do pozycji wręcz przeciwstawnej, chociażby w twierdzeniu, że sztuka naśladuje nie jednostkowe zdarzenia, lecz ogólne stany rzeczy. Pisał, że sztuka oddaje nie tylko stan zastany, ale i stan

Poemat jak malowidło

prawdopodobny, możliwy. Nie można zatem zarzucać Arystotelesowi, że w swej teorii mimetycznej nie uwzględnił czynników twórczych, związanych już tylko z wyobraźnią...

Drugie zbliżenie poezji i sztuki nastąpiło w okresie hellenistycznym. Filostrates, malarz i pisarz, notował w Eikones: „Ta sama mądrość, która nachodzi poetę, stanowi również o wartości sztuki malarzkiej, i ona bowiem zawiera mądrość”. Zatem mądrość i natchnienie, uprzednio dar boski jedynie przynależny poetom, stał się możliwym dobrodziejstwem również



rys. Magdalena Gintowt-Juchniewicz

dla artystów plastyków. Co prawda Lukian, Cyzero, Seneka, Witruwiusz nie zechcieli podpisać się pod tą myślą i postawa ich pozostała podobna do starogreckiej, ale już nie przeszkodziła zaistniałemu zrównaniu. Malarstwa uczono młodzież. Najsynniejszym cytatem z okresu starożytnego Rzymu są słowa Horacego: „Ut pictura poesis”, co znaczy poemat jak malowidło. Choć późniejsze interpretacje tej myśli

znacznie przerosły intencje autora, w oryginale znaczyła ona nie więcej niż pewną analogię między malarstwem a poezją, która była dość daleka.

W wiekach średnich ponownie poezję i sztukę rozłącono na korzyść i uprzywilejowanie tej pierwszej, która w przeciwieństwie do malarstwa, sięgała rzeczy duchowych, boskich i bardziej użytecznych moralnie. W czasach nowożytnych poezję i malarstwo znowu zbliżono i to do tego stopnia, że słowa Horacego „ut pictura poesis” stały się wręcz hasłem, którego treść była daleko posuniętą nadinterpretacją w stosunku do pierwotnego. Nie chodziło już o analogię między tymi sztukami, lecz o naprzemienne wzorowanie się malarstwa na poezji i odwrotnie. Epokę XVIII wieku wypełniał nakaz: „Niech poezja będzie jak malarstwo, a malarstwo niech będzie podobne do poezji”. Ale do naszych czasów pogląd ten nie przetrwał. Ponownie rozłącono obydwie sztuki. I raczej dobrze, że tak się stało, gdyż twórcy przestali z uporem malować to, co było rzeczą literackiego opisu, jak również zaniechali opisywania tego, co słuszniej było pozostawić sztuce malarzkiej.

Dopiero, gdy filozof Jouffroy stwierdził, że „nie ma innej poezji niż liryczna” w tym sensie jako wartość poetycka – poezja wkradła się nie tylko w świat malarstwa, ale i muzyki. W XIX wieku, poetyckość, szersze, liryczne pojęcie poezji zaistniała w sztukach plastycznych, ale już nabiści i fowiści chcieli widzieć w malarstwie jedynie wyraz jemu właściwych form. Ta przeciwstawność, podkreślająca, że każda z dziedzin posługuje się innym językiem charakteryzuje też czasy obecne. Ale nietrudno zauważyć, że popularne są też tendencje do wzajemnego przenikania się tych sztuk, czerpania, wyzyskiwania rozmaitych możliwości na rzecz nowego, oryginalnego, innego. Pozostał jednak rozdział, wskazujący na to, że sztuki plastyczne opierają się na postrzeganiu, a poezja na wyobraźni.

Jeżeli jednak przyjąć, że plastyka ukazuje rzeczy, a poezja operuje pojęciami abstrakcyjnymi, gdzie usytuuje się twórczość abstrakcji-

stów, którzy w formie obrazowej pragną przedstawić pojęcia abstrakcyjne, nie korzystając z opowiadania, lecz wypowiadając się poprzez język form właściwych tylko malarstwu? Gdzie też usytuować traktowanie poezji, jako integralnej części dzieła artysty?

A jednak już Blake wprowadził swoją poezję na stronicę odbitek graficznych. Czy zestawienie obu środków wyrazu w celu wyrażenia jednakię treści miało ją wzmocnić, czy wzbogacić? Dlaczego poeci parali się malarstwem, a malarze sięgali po pióro? Dlaczego zaistniały w sztuce takie postacie jak Wiliam Blake, Stanisław Wyspiański, Witkacy, Bruno Schulz wreszcie Wassily Kandinsky czy współcześnie tworzący Roland Topor, Erna Rosenstein, Gerhard Altenbourg.

Potrzeba realizacji na tych obu przeciwstawnych sobie płaszczyznach – mogła być wyrazem tak silnej ekspresji lub też niemożności wyrażenia się, określenia za pomocą jednej dziedziny. Wassily Kandinsky wspominał:

„Już od wielu lat pisuję czasami *wiersze prozą* a niekiedy nawet *poezje*. Jest to dla mnie pewną *zmianą instrumentu* – odkładam na bok paletę i zasiadam do maszyny do pisania. Mówię o *instrumencie*, ponieważ siła, która mnie pcha do pracy jest wciąż ta sama, to znaczy *wewnętrzny nacisk*. I właśnie ta siła wymaga ode mnie zmiany instrumentu”.

Może Kandinsky poniekąd wyjaśnia zagadkę potrzeby wyrażania się zarówno werbalnie, jak i obrazowo. Tak czy inaczej, czy będzie to wewnętrzny nacisk, czy też zasada wewnętrznej konieczności – wynikać będą z bardzo silnej ekspresywności jednostki. I jeszcze jedno, przeciwieństwo tych obu sztuk: sztuki obrazu i sztuki słowa potwierdza wypowiedź Kandinsky’ego, który niemalże narzeka na sytuację, w której malarzowi nie wolno być poetą. „O! Dokładnie pamiętam: kiedy zaczynałem *писаć* *poezje*, wiedziałem, że jako malarz będę podejrzany. Kiedyś *krzywo* patrzono na malarza, który *писаł* – nawet jeśli były to tylko listy. Żądano niemal, by przy jedzeniu nie posługiwał się widelcem, lecz *пędзлём*. Był to trudny okres, pełen ścisłych *подziałów* i jakże prosty w swej logice. Skoro teoretyk myśli, chociaż nie umie malować, to malarz powinien malować, mimo iż nie umie myśleć”.

Kandinsky mimo tych ścisłych podziałów lub wychodząc im wręcz naprzeciw, wydał swoją książkę zatytułowaną „Klänge” (Dźwięki). Ukazała

się w Monachium w 1913 roku w wydawnictwie Piper&Cie i było to wydanie dość luksusowe, ze specjalnymi inicjałami, na ręcznie czerpanym papierze holenderskim, przezroczystym. Miało kosztowną oprawę ze złotym drukiem i odznaczało się dużym stopniem elitarności. Nakład wynosił 300 egzemplarzy, które były sygnowane i numerowane przez autora. Ten rodzaj książki autorskiej, mimo początkowego sceptycyzmu wydawcy, spotkał się z wielkim entuzjazmem odbiorców. Książka była rozchwytywana, ale zgodnie z umową pomiędzy autorem i wydawcą, jak również prawem strzegącym oryginalności odbitek graficznych – elitarność wydania była jedyna w swoim rodzaju – nikt nie miał już prawa nigdy więcej wydać nakładu.

Książka Kandinsky’ego zawierała wiersze ozdobione licznymi barwnymi oraz czarno-białymi drzeworytami. Nie miałam okazji obejrzeć oryginału, ale nieliczne przedruki zamieszczonych w nim grafik, jak również jakość poetyckiego obrazowania w rozprawie „O duchowości w sztuce” sugerują, że sukces tego przedsięwzięcia był zasługą nie tylko starannego wydania lecz przede wszystkim silnego, artystycznego wyrazu całości dzieła.

To, co przekonuje mnie do osoby autora, to jego niezwykła odwaga i konsekwencja w realizacji twórczych zamierzeń; ten „niedobry” czas dla malarza-poety, który pragnął przezwyciężyć, nie ze względu na ideę, ale z powodu silnej wewnętrznej potrzeby, której nie bał się ujawnić. Eseje, składające się na książkę „O duchowości w sztuce” też zaznaczyły w szufladzie własną historię, zanim dotarły do rąk czytelników. I chociaż mało kto kojarzy postać Kandinsky’ego z osobą poety, dla mnie zawsze pozostanie on symbolem nie tylko abstrakcji, ale przede wszystkim szeroko pojętej kreacji – ekspresji, która emanuje w równej mierze z jego malarstwa jak i słowa.

Jeśli chodzi o Kleeego, to wiadomo, iż prócz muzykowania od wczesnych lat *писаł* wiersze. W 1915 roku, już jako dojrzały artysta, zainteresował się poezją chińską, którą przesyłała mu w listach żona. Podjął próbę malarskiej transpozycji słowa. Spośród całego cyklu wierszy – obrazów, jakie zamierzał wykonać, udało mu się zrealizować jedynie poszczególne dzieła. Mimo skromnej liczby tych kompozycji, warte są one wyróżnienia. Uderzają odrębnością i szcze-

gólnym traktowaniem zarówno tekstu, jak i znaku samej litery w obrazie.

Kompozycja malarska „Ongis wynurzony z szarości nocy” jest graficzno-malarskim ustosunkowaniem się do słowa. Można rozczytać poszczególne wersy, ale każda z liter traktowana jest jako znak, osobny składnik kompozycji. Tekst widnieje zarówno na górnym marginesie akwareli, w postaci odręcznego zapisu, jak również w głównej części dzieła, wtopiony w przestrzeń malarską. Istnieją przypuszczenia, że wiersz ten jest autorstwa Kleeego, gdyż ani nie jest podpisany żadnym innym nazwiskiem, ani też nie ustalono nigdy jego pochodzenia: „Ongis wynurzony z szarości nocy / Potem ciężki i drogi / i silny jak ogień / Wieczorem pełen Boga i schyłony, / Teraz eterycznie w rozedrganym błękitcie / odpywa nad firmami / do mądrości pod gwiazdami”.

Zabawę literą i tekstem znajdujemy też w kompozycji graficzno-malarskiej zatytułowanej: „Schriftbild aus dem Hohen Leid”, co można przetłumaczyć jako „Obraz pisma”, czy też „Pisemny obraz z Pieśni nad Pieśniami”. Hans Jürgen Buderer pisze, że „Klee wciąż na nowo, na każdym kroku rozprawia się z malarskim działaniem liter, piśmienniczych, abstrakcyjnych znaków i całym następstwem tekstu, które integruje jako środki artystyczne w swoich pracach. Nie chodzi mu przy tym o problem graficznego kształtowania pisma, ale o podstawowe pytanie dotyczące obrazu. Litera może być uwypuklona przez swą barwność lub odpowiednią wewnętrzną strukturę. Musi współtworzyć z innymi elementami obrazu, kolejnymi literami, abstrakcyjnymi znakami czy figurami sytuację wyważenia harmonijno-kompozycyjnego. [...] Pisemne znaki układają, podporządkowują się danej, seryjnej strukturze lub rozpoczynają niezależną wolną grę możliwych znakowo-malarskich związków i wzajemnych relacji”.

Zainteresowanie literą jako znakiem malarskim, uczynienie z niej prywatnego języka, kodu, widoczne jest również w takich działaniach jak „Pismo abstrakcyjne” z 1931 roku, gdzie tuszem na listowym papierze Klee kreśli wersy liter. Zapisuje wewnętrzny strumień napięć, pozbawiony słownego przekazu, lecz mówiący językiem kompozycyjnych kontrapunktów, powstałych w układzie hieroglificznych znaków poprzez zagęszczanie, wydłużanie czy pogrubianie poszczególnych linii. *I tak mowa stała się znakiem...*

Magdalena Gintowt-Juchniewicz

Tren przełomu wieków

Symboliczne, mistyczne, generacyjne – tak tematycznie określono wiersze trzech ostatnich tomików Dariusza T. Lebiody, będących jednocześnie pożegnaniem liryki, nieodwracalnie wpisanej w XX wiek. Warto spojrzeć na tę twórczość zarówno poprzez pryzmat osobistego rozstania z drugim tysiącleciem, jak i zatrzymać się nad zaproponowaną drogą interpretacji. Tym razem jednak nie można zupełnie przemilczeć biografii autora. Dopiero w tej perspektywie poezja Dariusza T. Lebiody uzyskuje konkretny znak współczesnych czasów.

Urodzony w 1958 roku, został pokoleniowo przypisany do „Nowych Roczników”. Jest jednym z najaktywniejszych przedstawicieli grupy. Opublikował trzynaście tomików wierszy, ale równie często sięga do form prozatorskich. Liczne artykuły krytyczne, eseje, opowiadania, szkice biograficzne oraz wykłady poświęcone literaturze XIX i XX wieku – sprawiają, że Dariusz T. Lebioda postrzegany jest jako ważna postać życia literackiego. A poezja? Metaforycznie dopełnia ten wizerunek.

Napisano o niej dziesiątki prac, analizowano główne wątki, odnajdywano słowa kluczowe i ulubione motywy, a także żarliwie dyskutowano, krytykowano i nagradzano. Ostatnie tomiki są próbą podsumowania ponad dwudziestoletniej, polifonicznej, poetyckiej rozmowy ze światem. Toczy się ona przez symbole, dosięga tego co mistyczne, by na koniec wieku przypomnieć głosy zapomnianych pokoleń, zdegradowanych środowisk...

snułem opowieść o chtopcach o dziewczętach / którzy polegli w drugiej połowie / dwudziestego wieku (...) pisałem o tych co zawsze sami i stale na przeciw / wrogów o tych wciąż tęskniących za czystym / dotknięciem piękna / była to opowieść o dorastaniu do czasu / i do grobu o drzeniu żrenicy i o ostatnim / spojrzeniu w otchłań (...) – z tych słów ułada się historia o tytułowym mieście straconego pokolenia. Los ciągle wypełnia się według romantycznego paradygmatu, a my (...) każdego dnia / od nowa z rozszczępionych barw / próbujemy zbudować dom który / przetrwa wojny toczące się / w nas (dom). My – słabi wewnętrznie, tragiczni poprzez okoliczności, chwilami niepoprawni idealści, chwilami bluźniercy, niemi świadkowie życia – bohaterowie wierszy. Ale owo „my” nie ma w sobie wy-

miaru uniwersalnego. Jest raczej głosem określonych środowisk, konkretnych grup, lokalnych społeczności.

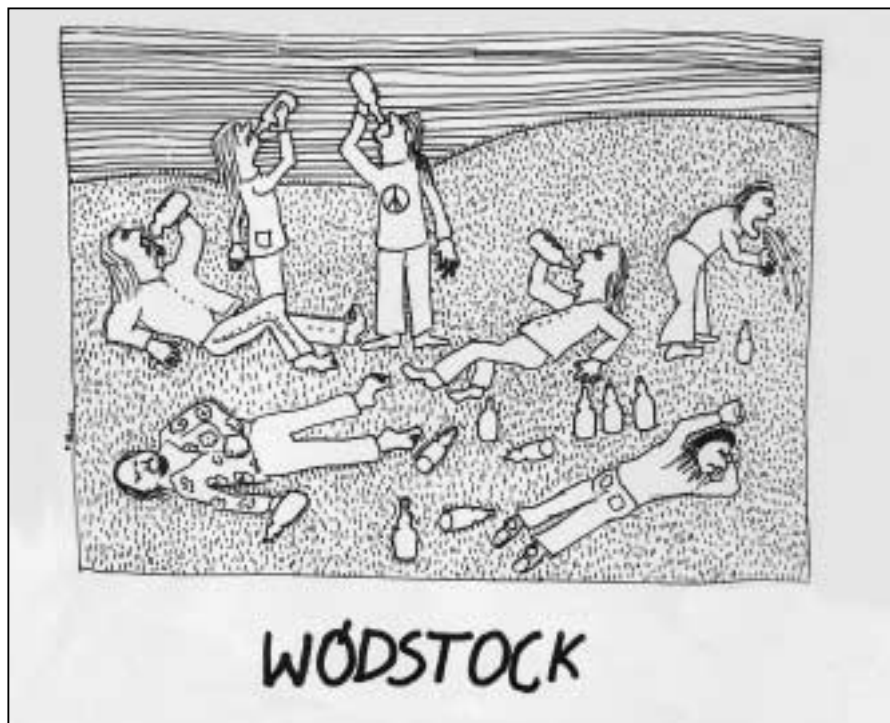
Niewątpliwie tak silnie akcentowana wspólnota, wyróżnia generacyjne wiersze Dariusza T. Lebiody spośród szeregu poetyckich manifestów. Portretowane „subkultury” tworzą niezwykłą mozaikę: od środowisk więziennych do tych, w których liczą się tylko narkotyki. Z różnorodności wyłania się pytanie: czy to tylko kreacja poetycka, czy może próba dotarcia do istoty egzystencji poprzez wielość twarzy, masek, sobowtórów...

Ostatni tomik pt. „Cmentarz Niebieskich Aniołów” jest także opowieścią o unicestwieniu, o rozkładzie,

kresu, który zdaje się być upragnionym wybawieniem?

Podobnych wątpliwości odnajdziemy więcej. Narastają one wraz z odkrywaniem kolejnych wierszy. Poeta piętrzy sprzeczności, sięga po barokowy paradoks, bawi się wielością znaczeń. Świat, do którego zaprasza istnieje pośród upadłych wartości i często pozbawiony jest granicy między dobrem a złem. Wśród wszechobecnej „marności” jedynie buntownicy, prometeusze i nihilści szukają swych dróg.

„Cmentarz Niebieskich Aniołów” może zachwycać i zniechęcać jednocześnie. Obok łagodnej liryki pojawia się poetyka naturalizmu, brutalność łą-



rys. Przemysław Runo

o śmierci. Dominują w nim tak ciemne pejzaże, że nawet przebłysk słońca zapowiada kres. Schyłkowość otoczona wyobcowaniem i ciągle potężniejszą pustką pogłębia dekadencją atmosferę. Człowiek tego świata najmocniej odczuwa niepokój, smutek, zwątpienie, trwogę, ból. Pozbawiony nadziei, o swym życiu powie: *czułem na sobie uważne / spojrzenie / czułem że mój puls / jest echem / westchnień świętej / przestrzeni / wzdychałem lekko / i biegłem / w dal (W siedemdziesiątym trzecim)*. Ale nawet taka pozorna ucieczka nie uwalnia od piętna egzystencji. A może właśnie przybliża do

czy się z delikatnością, a metafizyka przemienia w bluźnierstwo. Nie powinno to dziwić, bo przecież wiersze Dariusza T. Lebiody nigdy nie pozostawiały czytelnika obojętnym. Także wśród licznych głosów krytycznych dominują skrajności. Ciekawe, po której stronie stanie czytelnik XXI wieku?

Aleksandra Rudalska

Dariusz Tomasz Lebioda „Cmentarz Niebieskich Aniołów”, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2000

Redakcja prosiła, by było krótko, zwięźle i na temat, zatem zawężyłem się do kilku zaledwie refleksji:

1. Zawsze miałem przecucie, że w polskiej poezji ostatnich lat było coś więcej niż tylko „barbarzyńcy” i „klasycy”, jakaś przestrzeń milczenia domagająca się opisu i pamięci. Moje przypuszczenia zmaterializowały się niedawno w postaci zbioru szkiców krytyczno-literackich Marcina Hałasia „Requiem dla pokolenia”. Autor upomina się o osoby i wiersze, które dziwnym zbiegiem okoliczności zostały w większości wyparte poza nawias świadomości społecznej. Westchnienie ulgi – więc jednak klasycyzm jest możliwy nie tylko w wykonaniu Wencła czy Klejnockiego. Lektura pozycji Marcina Hałasia utwierdziła mnie w tym przekonaniu i czuję się teraz znacznie lepiej.

2. Mam problem z identyfikacją znacznej części autorów, o których pisze Marcin Hałas, większość z nich poznałem dopiero za przyczyną lektury „Requiem dla pokolenia”. Niech będzie to wyrazem uznania dla autora, który zamiast wędrować utartymi ścieżkami – rzecz rzadka w dzisiejszych czasach – nie obawia się upomnieć jako krytyk, o tych którzy może niesłusznie pozostają „poza obiegiem”. Autor „Requiem” nie boi się wypunktować Jarosława Klejnockiego i Jerzego Sosonowskiego za stworzenie monografii „towarzyskich” zamiast odkrywania mnogości poetyk, przyznawania im racji bytu, afirmowania różnorodności.

3. Hałas nie jest w swojej książce bezstronny, ale takie reguły gry zostały narzucone. Czasem trzeba świadomie zniekształcić optykę, żeby w perspektywie był możliwy ogląd całości. Szczególnie jest to potrzebne, gdy się trzeba upomnieć o rzeczy i osoby pozostające w ciemności, milczące.

4. Trudność sprawia mi identyfikacja kryterium pokoleniowego, znalezienia wspólnego mianownika dla autorów o których pisze Hałas. Doświadczenie 13 grudnia 1981 roku w moim odczuciu jeszcze pokolenia nie czyni. Owszem zauważalna jest pewna orientacja aksjologiczna i na niej ufundowana poetyka. Tylko wtedy na drugi plan schodzi rys generacyjny, a zatem porządkowanie zjawiska przy pomocy dat urodzin twórców traci sens. Rozrzut wiekowy pomiędzy Krzysztofem Lisowskim, Elżbietą B. Prażmo, Antonim Pawlakiem, Andrzejem Torbusem, Dariuszem T. Lebiodą, Anną Piwkowską, Januszem Mrzigo-

Głosy z ciemności

– o słusznym trudzie Marcina Hałasia

dem, Robertem Gawłowskim i samym autorem książki jest spory i żadna korelacja wedle tego kryterium nie da się wyznaczyć.

5. Nie jestem zwolennikiem rozpatrywania literatury wedle kryteriów generacyjnych. Zdaje mi się, że kryje się za tym utajony lęk, tak jakby sam autor i jego wiersz nie wystarczał. Kategoria pokolenia może być stworzona „ex post”, gdy pokolenie, o którym mowa, już przeminęło i następnicy zabierają się za obrachunek ze światem zastanym. Ważniejsze staje się nie to, do jakiej generacji się przynależy, ale jaki rodzaj namysłu metafizycznego, jaki sposób poznania (w tym poznania wartości!) jest najbliższy autorowi. Ważniejsza jest orientacja etyczna i estetyczna niż data urodzin czy też data debiutu, które dają się wprowadzić precyzyjnie wyznaczyć (co w zamieszaniu pojęciowym zdaje się być jakością pożądaną), ale niewiele wnoszą do zrozumienia zjawiska.

6. Rok temu ukazała się inspirująca książka, której autorem jest krytyk, poeta, prozaik – „l'enfant terrible” polskiej liryki – Karol Maliszewski. Książka skądinąd bardzo ważna i potrzebna. Nakład 1000 egzemplarzy. Bez komentarza. W tym roku mamy – nie waham się tego przyznać – następną ważną książkę, tym razem z innej strony barykady – Marcina Hałasia. Nakład 500 egzemplarzy. I o jakim dyskursie tu mowa? Obie pozycje powinny stać się punktem wyjścia do refleksji na temat tego, czym się stała polska poezja ostatnich 20. lat. Ale zdaje się, że większość nielicznych już odbiorców zamiast fermentu, konfrontacji różnych punktów widzenia, woli komunały o upadku poezji albo poświęconą grypserę i strojenie min przed tymi, którzy się przebili i zaistnieli.

7. Często wśród narzekań, pada zdanie, że brak krytyki literackiej towarzyszącej nowym zjawiskom w polskiej poezji. Książka Marcina Hałasia udowadnia, że tak nie jest. Jej nakład, podobnie jak nakład książki Karola Maliszewskiego udowadnia też, że ta krytyka istnieje bez możliwości szerszego zaistnienia, odnalezienia rezonansu.

Być może takie mamy czasy. Wydawcy nie wierzą w siłę poezji, w związku z czym czytelnicy zrezygnowani opuszczają księgarnie, gdzie poza kolejnymi kompilacjami Leśmiana z Kochanowskim i czołobitnych dzieł zebranych, nie ma już powietrza. Stało się coś złego, to już nie zwykły elitaryzm, to ezoteryzm... albo temat na zupełnie inny tekst.

8. Szanuję Was Panowie, dziękuję i Marcinowi Hałasiowi, i (ponieważ) Karolowi Maliszewskiemu. Tylko – no właśnie – kto Was, nas słucha...?

Radosław Wiśniewski

(Marcin Hałas, „Requiem dla pokolenia”, Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2000)



rys. Magdalena Gintowt-Juchniewicz

JÓZEF TKACZUK

Bonawentura jechał autobusem, w głowie miał mętlik. Najchętniej, zamiast wszystko sobie poukładać po kolei, wołałby zapomnieć jak się nazywa, gdzie mieszka i odlecieć na południe szlakiem dzikiego ptactwa. Jednak rzeczywistość go zniewalała. Nagle zwrócił uwagę na napis na siedzeniu przed sobą:

I love Józef Tkaczuk

Józef Tkaczuk był postacią mityczną. Dzieci na całym świecie z lubością wypisywały jego nazwisko na murach, w autobusach, metrze, tramwajach. Jego postać była wszechobecna w toaletach. Każdy

z małolotów był gotów oddać za niego życie, a nawet pieniądze. Znac Józefa Tkaczuka znaczyło więcej niż zobaczyć Boga. Był, jedynym w swoim rodzaju, niepowtarzalnym facetem.

Jedna z legend głosiła, że był dozorcą w jakimś slumsowym domu. Inni twierdzili, iż pracował jako woźny w szkole. Niezależnie od tego jak, było na prawdę, był kimś wyjątkowym, był po prostu jak Nardzieja. Józef Tkaczuk stał się obrońcą uciśnionych. Jego przyjaciółmi byli Forrest Gump i Superman. Stał się także patronem przestępców, a ponieważ w żadnym ko-

ściele na świecie nie zaliczano go do panteonu świętych, uchodził za prawdziwego outsidera, który zawsze był gotów na wszystko, co by to nie było i czego nie oznaczało.

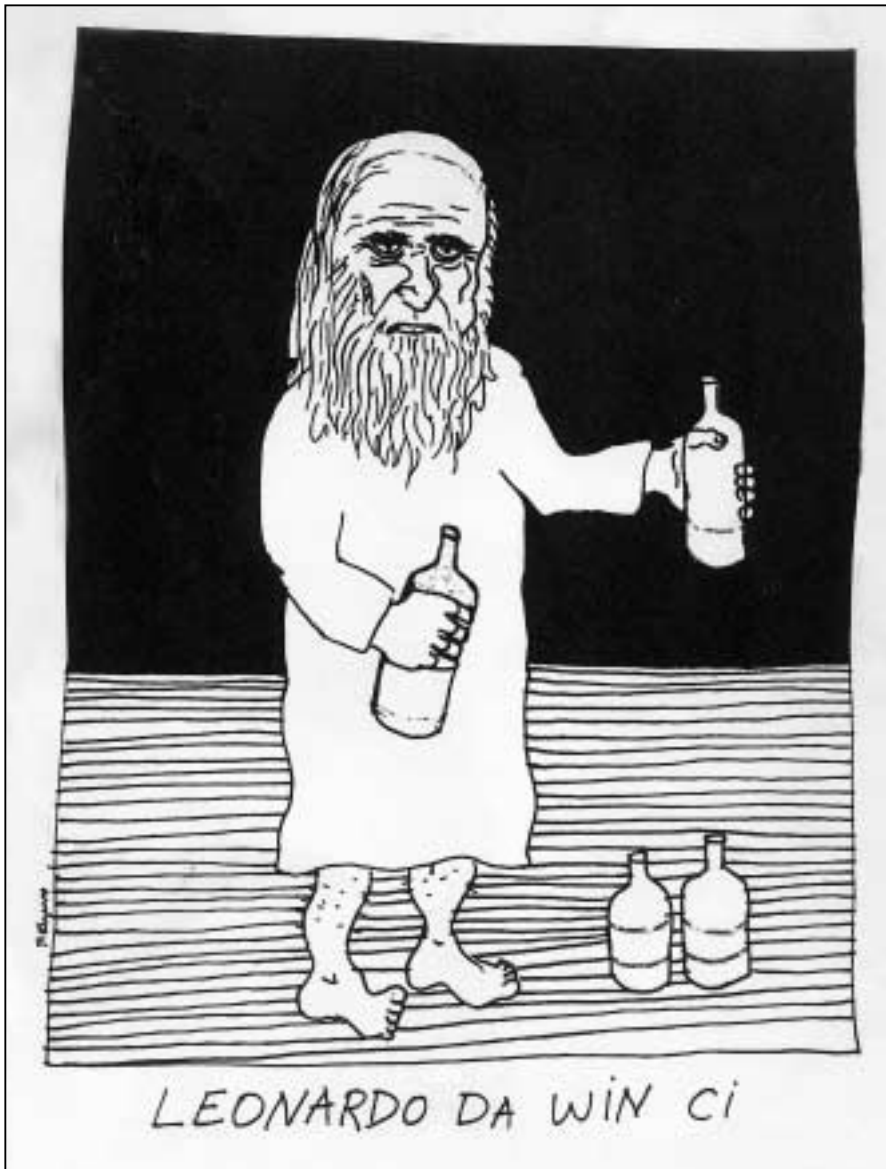
O Józefie Tkaczuku wiadomo, że z poświęceniem godnym podziwu i uznania na polecenie Kopernika wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię. Przedtem, jako że był znanym żartownisiem, spuścił na głowę Newtona jabłko. Jednak ten nie poznał się na dowcipie i odkrył prawo ciężenia i od tego czasu ludziom na ziemi chodzi się ciężiej, a Józef Tkaczuk ostrożniej dobiera sobie przyjaciół. Kiedyś po pijanemu tłumaczył Einsteinowi teorię względności. Jednak matematyk zrozumiał z niej tylko tyle, że istnieje teoria względności czasu.

J. T. to postać niezwykle skromna. Zawsze woli pozostać w cieniu i nie ma pretensji, kiedy ktoś przypisuje sobie jego osiągnięcia. Gdy Wikingowie ubiegali Kolumba w odkrywaniu Ameryki, po przybiciu do brzegu nieznanego lądu ujrzeli na piasku napis: „Byłem tu Józef Tkaczuk”. Przed Gagarinem obleciał kulę ziemską, a kiedy Amerykanie wylądowali na księżycu ujrzeli wyryty w skale napis „Tkaczuk forever”. Tkaczuk cieszy się dużą sympatią u kosmitów. Swego czasu uratował dwie galaktyki od zagłady. Jego hobby w międzygwiazdnych wędrówkach jest oznaczanie czarnych dziur w kosmosie.

Jednak najważniejszym odkryciem Józefa Tkaczuka jakiego dokonał, poza wynalezieniem pieniądza, było wymyślenie technologii zamieniania alpagii w wytrawne wino. Ludzkość jest mu niezwykle wdzięczna. Na całym świecie ludzie wystawiają mu pomniki. Ponieważ jednak zawsze działa anonimowo i dyskretnie również symbole jego pamięci mają tajny charakter. Każdego dnia miliony Józefów Tkaczuków otwierają podwoje szkół i zamiatają kurz przed budynkami.

Bonawentura wiedział, że gdyby nagle pojawił się Józef Tkaczuk, poprosiłby go, aby ten zakradł mu się do mózgu i ładnie tam pozamiatał.

Juliusz Erazm Bolek



Klątwa internetu

Cały świat przeniósł się z wymiaru realnego na strony internetowe. W ten oto prosty sposób rzeczywistość już nie dominuje, albowiem została wyparta przez iluzję stron elektronicznych. Prawdą stało się to, co można zobaczyć na monitorze, a nie za oknem. Przecież to co widać za szybą trzeba dotknąć i zrozumieć. To, co widać na ekranie jest już zdefiniowane, posiada dobrze znany kod. Już nie trzeba analizować, porównywać, wątpić, myśleć. Zwolnienie z używania mózgu okazało się największym ułatwieniem.

Bezkrytyczna wiara w wirtualny świat jest szokująca. Jednak wygląda na to, że na naszych oczach rodzi się nowa religia, inaczej ograniczone pojmowanie rzeczywistości i świata. Wszystko przemienia się w impuls elektroniczny.

Wirtualna rzeczywistość zmusza do coraz dłuższego wpatrywania się w ekran. Niektórzy pracodawcy uznali, że komunikacja w firmach i ze światem zewnętrznym powinna odbywać się wyłącznie dzięki internetowi i intranetowi. Istnieją banki i sklepy, które oczekują tylko na internetowych klientów. A brak dostępu do komputera przestaje być problemem.

Może zastąpić go „zmysłny” telefon komórkowy.

Rzeczywistość wirtualna redukuje zmysły człowieka. Przed ekranem zapominamy o dotyku, zapachu, smaku. Świat poznaje się prościej – przez ruch myszką i kliknięcie. Jeszcze pozostaje seks wirtualny. Może nie daje tak pełnej satysfakcji, ale za to jest bezpieczny. Można uprawiać go w samotności, wtedy kiedy ma się na to ochotę i tak jak się chce. A w dodatku wszystko można zaprogramować według indywidualnych życzeń. Również kontakty z przyjaciółmi zostają ograniczone do poczty elektronicznej. Nawet tak intymna duchowo spowiedź i rozgrzeszenie dostępne są za pośrednictwem łączy komputerowych.

Nowa technologia ma niebywałą zaletę – jest ekologiczna. Jeśli coś się zmienia lub przestaje istnieć, po prostu znika. Nie trzeba niczego burzyć, palić, ani wywozić na wysypisko. Powstaje kultura

niematerialna, która żyje tak długo, jak długo istnieje napięcie. Dla archeologów badających naszą cywilizację nie zostawimy specjalnej pożywki. Przecież wszystko co obecnie powstaje jest maksymalnie wydajne, energooszczędne i zrobione tak, aby trwać tylko chwilę. Zapominamy, że to co jest tak ulotne, nie ma w swej istocie żadnej wartości.

Nasza cywilizacja najwięcej traci na zanegowaniu i odrzuceniu potrzeby wartości. Zagubieni ludzie mają jeden cel – konsumpcję. Powstało więc kolejne, nowe kryterium. Przelicznik jest prosty. Każdy jest wart tyle, ile konsumuje. Teraz jeszcze banki analizują ilość pieniędzy na koncie, ale niedługo równie ważne będą informacje o stylu bycia potencjalnego klienta. Jeśli nie będzie dobrym konsumentem – jego wartość gwałtownie się obniży. Pewnie z czasem ocenie będzie podlegać także aktywność w internecie. To ona będzie wyznaczała kryterium potencji w XXI wieku.

W internecie nie ma miejsca na miłość, sprawiedliwość, uczciwość, przyjaźń. Abstrakcje, które nie pasują do wirtualnego świata. Przecież każdy może sobie ułożyć program szczęścia, każdy może żyć tyle razy, ile sobie wymyśli, nawet uczciwość można zaprogramować. Kontakty międzyludzkie mogą stać się na tyle powierzchowne, że określenia więzi emocjonalnych przejdą do słownika pojęć niezrozumiałych. A śmierć, dotychczas stanowiąca moment krytyczny w życiu człowieka, w wirtualnej sferze przestanie istnieć. Człowiek po prostu – znika. Kasuje mu się konto poczty elektronicznej i inne zapisy wirtualnego bytu.

Po Egipcjanach zostały piramidy, co zostanie po nas?



fot. Krzysztof Sidorek

Juliusz Erazm Bolek

Pamiętajcie o moim ogrodzie...



fol. A. Rudalska

Tylko takiej, skromnej pamięci pragnął pewien malarz z Dąbrowicy Małej¹ – Bazyli Albiczuk.

Pierwszy raz opowiedział mi o nim mój profesor Stanisław Baj. Zapamiętałam wówczas motyw ogrodu, pieczołowicie pielęgowanego, strzyżonego, urozmaicanego tylko po to, by jak martwą naturę móc go obłaskawić, ustawić i namalować. Takie stwarzanie świata malarzkiego jeszcze przed jego zaistnieniem na płótnie. Świadomy zabieg samouka, człowieka ze wsi, wrażliwego artysty. „Miał piękny ogród – wspominał Stanisław Baj – Musicie go zobaczyć! I to jego mieszkanie, za życia urządzone jak muzeum. On chciał, żeby po nim zostało – dla potomnych...” Budował sobie „pomnik” z przyrody, cegieł i własnego malarstwa...

Baj przyjaźnił się z Albiczukiem. Kiedy odwiedzał go w Dąbrowicy i biesiadowali, Bazyli potrafił nagle wstać i powiedzieć: „To ja sobie teraz zagram!” I zwyczajnie

wstawał od stołu, brał skrzypce i po prostu grał. Chyba trudno o większy autentyzm niż takie skrzypki, taki ogród i takie malowanie...

Zresztą Stanisław Baj najbardziej zdawał się być urzeczony prawdą o człowieku-artyście, jego najszczerzej wypowiedzi i ciągłej potrzebie kreowania własnego, odrębnego świata: najpierw w sobie, później wokół siebie, a dopiero potem na płótnie.

Ludzie kochali Albiczuka. To był ich malarz. Swój człowiek. Wójt w zamian za sporą część obrazów przychylił swej władzy i pomógł wybudować Albiczukowi dom – murywany. Na wsi, jak na owe czasy, a może i jak na obecne również, to był gest. Zresztą, ludzie pomogli, a i sam malarz ciężko pracował przy budowie. I miał już Albiczuk własne gniazdko, ceglane, wyłożone od środka duszą obrazów i skrzypczek. I pragnął jedynie, żeby po jego śmierci powstało tu muzeum z ogrodem, zachowane takim, jakim je pożegnał zamykając ostatni raz oczy...

W te wakacje Stanisław Baj zajął na chwilę do Choroszczyńki² i naszej chaty pod lasem. Wspominaliśmy różnych artystów ze znanych nam wspólnie okolic i los tak chciał, że Albiczuk był duchem obecny wśród nas. Baj opowiadał, że zupełnie przypadkiem poznał na Mazurach pewną kobietę, do której Albiczuk pisywał piękne, poetyckie listy... Odkryto korespondencję niezwykłą, osobistą, odsłaniającą jeszcze jeden zakamarek duszy Bazylego – zaklęty w słowie.

Baj obiecał tejże kobiecie z Mazur, że zrobi dla niej fotografię ogrodu, domu i miejsca, gdzie spoczywa Albiczuk. Ponieważ nie widzieliśmy jeszcze nigdy tego ogrodu, tak jak siedzieliśmy w chacie za stołem, postanowiliśmy wstać i jechać.

Profesor miał niestety samochód wypełniony po brzegi blejtrami, więc wskoczyliśmy na rowery i pomknęliśmy do Dąbrowicy, wyznaczając możliwie sprawne tempo, jak na niemożliwie upalny dzień... Profesor zdawał się już dobrze nie pamiętać okolicy, ale mijając ogrodzone butwiejącym płótkiem krza-

czory, rozpoznał dom. Ogród przypominał zapuszczoną, dziką działkę, po której bezkarnie błąkały się czyjeś kury i kaczki... Sąsiadka powiedziała, że dom, za sprawą wójta, od dwóch lat zamieszkuje rodzina z Kazachstanu (Bogu ducha winna, bez wątplenia), a rodzona siostra Albiczuka, która miała tam należny jej pokój, leży schorowana w warszawskim szpitalu i nikt jej o zdanie nie pytał, a może nawet nic nie wie. „Firanka, w oknie siostry wisi tak, jak wsiada w dniu śmierci Bazylego. Ale kto wie, co tam jest w środku, pewnie wszystko pozmieniane.” – żaliła się sąsiadka. Wójt „odwdzięczył się z należyтым szacunkiem” wobec pamięci o zmarłym i jego jedynym dziele życia: ogrodzie, własnoręcznie budowanym mieszkaniu i obrazach. Kobieta westchnęła: „Teraz to już nikt nie pamięta, czy Albiczuk zmarł pięć, dziesięć czy piętnaście lat temu. Nie ma i już. Nikt nie pamięta. A obrazy, które były u wójta, gdzieś są u ludzi... Niewiedomo gdzie”.

A można było przecież zrobić oddział muzeum, wystawić żywą laurkę małej wiosce, mieć swojego wielkiego artystę Podlasia. Można było. Nikt nie chciał. A nie kto inny, tylko Albiczuk otwierał swymi czterema płótnami wielką wystawę w Zamku Królewskim. Jego ogród, wciąż kwitnący, bajkowy, zaczarowany zapraszał w inne ogrody...

Profesor z żalu nie był w stanie nawet zrobić zdjęcia resztkom zaniedbanego ogrodu i resztkom pozostałych po artyście, znieważonych pamiątek... „Taki los może i nas spotkać” – szepnął. Tak więc pojechaliśmy jeszcze na wzgórze, do zagajnika, gdzie na prawostawnym, maleńkim cmentarzu, strzeżonym tylko przez drzewa i ciszę – śpi zapomniany malarz – Bazyli Albiczuk...

Magdalena Gintowt-Juchniewicz

¹ Dąbrowica Mała – maleńka wioska podlaska, przez którą można jechać do Kodnia lub Białej. Leży ok. 15 km od granicy z Białorusią.

² Choroszczyńska – wieś położona kilka kilometrów od Dąbrowicy Małej.

Zazwyczaj żywot kalendarzy jest krótki. Kończą odmierzać czas i trafiają do przeszłości. Prawie bezwzględnie są podporządkowane swej użytkowej funkcji. Tylko nielicznym udaje się pozostać w kręgu rzeczy niezwykłych i „wiecznych” jak sztuka.

Takim wyjątkiem zdają się być „Sekrety życia” Juliusza Erazma Bolka. Ten czternastopłanszowy, ścienny kalendarz jest przede wszystkim poetycką refleksją nad tajemnicą bycia. Różni się ona od wielu znanych literackich prób wpisania ludzkiej egzystencji w uporządkowany rytuał przyrody, albo w skończoność pór roku. W dwunastu wierszach, jak w dwunastu momentach życia, ukrytych jest dwanaście sekretów. Ale nie znajdziemy tu żalu za utraconym czasem, nie będziemy myśleć o przemijalności czy kruchości życia. Wręcz przeciwnie. Każda karta kalendarza przynosi ze sobą radość, optymizm i zachwyty

„Sekrety życia”

czyli kalendarz nowego tysiąclecia

nad światem. Każdy wiersz uczy patrzenia w przyszłość, bo chociaż *świat nie jest idealny / ale czasem tak łatwo / go udoskonalić / i można triumfować (wrzesień)*. Poeta doskonale zna ludzkie słabości, pragnienia i tęsknoty. W kwietniu prowadzi nas *do ogrodu wyobraźni / tam schowane są / najcenniejsze skarby*. W maju obezwładni zmysły intensywnością kolorów, dźwięków, zapachów. A kiedy nadejdzie ostatni miesiąc, kiedy grudniowy sekret życia zostanie wyjawiony, usłyszymy na pożegnanie, że *wysypują się drogowskazy / które prowadzą / w nowy świat*.

Poetycki kalendarz odkrywa tylko kilka tajemnic. A lapidarność wypowiedzi sprawia, że każdy wiersz może być odczytywany co roku inaczej...

„Sekrety życia” nie muszą podzielić losu większości kalendarzy. Chociaż odmierzają czas, mają w sobie wiele artystycznych walorów. Rzadko spotykamy tak doskonale opracowany graficznie i ekskluzywnie wydany kalendarz. Na białej przestrzeni karty, w rzędy szarych słów wplatają się ekspresyjne, barwne a jednocześnie oszczędne w formie – grafiki Joanny Czernieckiej. Ich kruchość, ulotność, minimalizm nadają kalendarzowi metafizyczny charakter. Nie zabierają słowem przestrzeni, raczej symbolizują przesłanie utworów. Zostało to również docenione przez organizatorów Ogólnopolskiego Przeglądu Kalendarzy (Vidical 2001), którzy w pokonkursowych podsumowaniach zauważyli: „Jurorów najbardziej zadziwił fakt, że na odwagę i swego rodzaju bezczelność, godną wielkiego Henryka Tomaszewskiego, stać było młodą kobietę, absolwentkę krakowskiej ASP, Joannę Czerniecką.

– *Zobaczcie, jeszcze o niej usłyszymy* – stwierdził Szymon Kobyliński”.

Kalendarz mógł powstać dzięki niezależnej, dynamicznej firmie „Prografix”. Najnowocześniejsze technologie druku i perfekcyjna jakość zostały dopełnione przez jeszcze jedną formę realizacji „Sekretów życia”. Nie jest ona dostępna na co dzień, nie można jej zwyczajnie zawiesić na ścianie. Jest za to znakiem wprowadzającym poezję w XXI wiek.

Zaproszeni goście, którzy przybyli do Teatru Małego na premierę artystycznego kalendarza, byli świadkami bezprecedensowego wydarzenia. Otóż po raz pierwszy poezja została zaprezentowana w wersji przestrzennej. Za pomocą promieni laserowych nad widzami rozbłysły wiersze. Chyba trudno o lepszy sposób odkrycia sekretów i pokazania jak nowoczesna, choć tradycyjna może być ars poetica.

Dorota Zwolska

